

SPALENI SŁOŃCEM

Plaża – miejsce wakacyjnych pielgrzymek zmęczonych pracą mieszczan. Przez nią przetaczają się tłumy ludzi, którzy próbują wstrzelić się z urlopem w kontinuum kilku słonecznych dni w roku, by wypocząć, korzystając z bliskości zbiornika wodnego i komfortu, jaki daje pas nadbrzeżny pokryty materiałem sypkim. Sytuacji tej towarzyszą przeróżne zachowania, prywatne rytuały, odmienne strategie zawłaszczania terenu i organizowania przestrzeni wokół siebie – obserwacja ludzi nad wodą, w okolicznościach urlopowych, to jak wizyta z kamerą wśród zwierząt. Pewnie dlatego wielu osobom plaża wydaje się najpiękniejsza właśnie wtedy, gdy jest pusta. Powiedzmy sobie szczerze – widoki ze „Słonecznego patrolu” to fikcja. Prawdziwa plaża oferuje zupełnie inny materiał do przyswojenia i przetworzenia – być może pod pewnymi względami bardziej inspirujący. Chociażby dlatego, że właściciele stłoczonych tam ciał w innych warunkach prawdopodobnie nie odważyliby się zaprezentować ich w całej okazałości. Jednak w upalny dzień, nad morzem, obowiązują inne zasady – wybaczymy więcej, ale też samokrytycyzm zakopujemy w okolicznym lesie, jeszcze przed wydmami.

Jacek Świągulski w swoim najnowszym cyklu prac eksploruje (anty)estetyczny potencjał powłok doczesnych, które – jak się okazuje – ujęte nawet w tak prozaicznej sytuacji, mogą stanowić pretekst do rozważań na temat kondycji człowieka. Powiedzieć, że artysta zniekształca sylwetki ludzkie, to mało – są to bowiem formy kadłubkowe potraktowane w sposób brutalnie dosadny. Na abstrakcyjnie ujętym tle, składającym się z figur geometrycznych, a częściej tylko linii sugerujących pola ręczników lub koców, spoczywają utworzone z piany poliuretanowej bezkształtne, ciastowate masy. Swe antropomorficzne walory zyskują one głównie dzięki cielistej barwie i znalezionym obiektom, takim jak połamane okulary przeciwsłoneczne czy gogle do pływania, które autor prac włączył do przedstawienia w charakterze atrybutów plażowicza. Tak skonstruowana swoista metonimia człowieka odsyła nas ku czystej fizjologii, każąc wyobrazić sobie, jak spieczone słońcem okazy topią się powoli, wydzielając hektolitry potu, jak w falującym od gorąca powietrzu zaciera się granica między nimi a otoczeniem. Nie mając wyraźnie sprecyzowanego kształtu, kojarzonego powszechnie z figurą ludzką, zaproponowane przez artystę wizerunki zyskują aurę niemal abjektalną, czyli odwołującą się do tego, co większość z nas w ciele najbardziej obrzydza – do deformacji i świadomości procesów fizjologicznych. Jacek Świągulski doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nie trzeba przedstawiać ekstremalnych sytuacji, by wydobyć dramat biologiczny człowieka – czającą się w ciele zapowiedź rozkładu. Wystarczy do tego błaha scena wypoczynku. Patrząc na te napuchnięte, porośnięte bąblami korpusy, chciałoby się rzec za Leśmianem do hipotetycznego Stwórcy: „I czemuś mnie z takiego utworzył marliwa”?

Jest też w opisywanych tu płótnach pewien potencjał krytyczny, niepozbawiony nutki prześmiewczej. Trudno bowiem nie zwrócić uwagi na to, jak Świągulski modeluje fizjonomie tych anonimowych postaci, rozmazuje szminkę skwierczącej na ręczniku podstarzałej pudernicy, jak bawi się, wplatając przedmioty ze świata rzeczywistego, sugerując kiczowaty szyk często typowy dla miłośników kąpieli słonecznych. Treść zawarta w tym malarstwie nie odsuwa w cień walorów wizualnych, lecz pozostaje z nimi w pełnej symbiozie. Warto w tym miejscu zauważyć, że postać ludzka zawsze była centralnym motywem twórczości Jacka Świągulskiego. W poprzednich seriach artysta nadawał jej formę syntetyczną, dalece przetworzoną, do pewnego stopnia otwartą, często przenikającą się z płasko potraktowanym tłem. Przejście od tamtych skrótowo kreślonych figur do

aktualnych quasi-asamblaży wydaje się posunięciem konsekwentnym, wynikającym z przepracowania podejmowanych dotychczas motywów. Tak jak wcześniej, tło uzupełnia kompozycję i współtworzy atmosferę, zaś postacie wciąż pozostają w jakimś stopniu niedopowiedziane, co uruchamia wyobraźnię odbiorcy, pozwala nadbudowywać skojarzenia i piętrzyć domysły. Odświeżająco działa też wyjście poza konwencję płaskiego płótna i wprowadzenie do niego elementów obcych.

„Plaża” jest cyklem prac o szczególnie dywersyjnym charakterze, bo przecież każe nam zmierzyć się z własną groteskowością w zestawieniu z okolicznościami, w których zazwyczaj czujemy się dobrze i oddalamy od siebie wszystkie niepokojące myśli. Jacek Świągulski nie wyjaśnia sensu swojego malarstwa. Czy obrazy te, piętrząc nieprzyjemne skojarzenia związane ze słońcem, są ekologiczną hiperbolą, ubierającą w szaty parodii strach przed zmianami klimatycznymi? Czy każą nam spojrzeć z dystansem na siebie samych i nabrać odrobiny samokrytyki? A może po prostu zwracają uwagę na zakłamanie sfery wizualnej, przypominając, że masy wypełniające pejzaż nadmorski dalekie są od photoshopowego ideału forsowanego w mediach i na billboardach? Autor nie poddaje gotowych odpowiedzi. Wysyła do widza drobne sygnały za sprawą intrygujących rozwiązań formalnych. Unika taniego dydaktyzmu, nie brnie też w natrętą publicystykę. Zamiast tego zmusza do zastanowienia.

Paweł Jagiełło